TYGODNIK POLSKI

THE POLISH WEEKLY

Vol. 2 Nr. 32 (84) Nowy Jork, 13 sierpnia — New York, 21, N. Y., August 13th, 1944 Cena 15 ct.

DZIŚ W NUMERZE:
Ludwik Brzeski
Jan Lechoń
Tadeusz Sowicki
Stanisław Stroński
Marta Wańkowiczówna
Kazimierz Wierzyński
Bolesław Zubrzycki

Z POMNIKÓW WARSZAWY



SOBIESKI – TRYUMFATOR

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

TEBY

Posłuchajcie lutnisty, posłuchajcie Amfjona,
Gdy swą lirę nastraja i bierze w ramiona,
I aleją cedrową, pod cień sykomory,
Idzie bogom przygrywać w pogodne wieczory.

Zasłuchało się wszystko. Pojęły to tchnienie
Nawet w górach i polach leżące kamienie,
Poruszyły się z miejsca i stopą kanciastą
Idą żywe gęsiego układać się w miasto.

Ułożyły się w mury, rozsiadły się w domy,
Lira gra, dźwięk jej rośnie i kształt ma widomy,
A lutnista z natchnienia, z tajemnej potrzeby
I ze śpiewu buduje ojczyznę swą, Teby.

Amfjonie, spójrz jak twoja dziś błąka się dusza,
Dźwięk na lutni wygasa i bogów nie wzrusza
A szaleńczy poeta, pojąwszy twe tchnienie,
Wszedł na gruzy i słucha co szepcą kamienie.

TADEUSZ K. SOWICKI

MONTE CASSINO

Nim rzucicie swój świetny reportaż na prasę,
Nim uwiecznicie trupy na swoich kamerach,
Otwórzcie dobrze oczy patrząc w oczy zgasłe
Obcy korespondenci z agencji Reutera.

Niechaj wam z trudem przyjdzie depesze dyktować
I niechaj usta zadrżą, gdy przyjdzie wam wyznać,
Że musieliśmy znowu aljans parafować
I aljans ten raz jeszcze krwią naszą obryzgać.

Nam ten tragiczny klasztor głazem był na drodze,
Nam, to znaczy żołnierzom. Nie dla propagandy
Giniemy bez rachuby i w chwały pożodze
Zostawiamy na trupach naszyte "Polandy".

Jeśli Polska na szpaltach ponownie zaciąży
I uderzy w parlament potęgą pioruna,
Przez pamięć na zabitych w tej bitwy żołnierzy,
Na Cassino, przesuńcie nam linię Curzona!

My zakłócimy fale waszych radjostacji,
I nasze trudne słowa, kiedy mówi speaker,
Słuchajcie — bije w okna potężnych redakcji
Czarnym, złamanym skrzydłem obnażona Nike!..

Muzo wolnych narodów, rozpal błyskawice,
Gdy znów nas wołać będziesz. Jesteśmy przy broni
Krew jest zawsze czerwona i w szepcie agonji
Wyzna ci prawo Polski — wykreśli granice!..



Artur Grottger *WARSZAWA*

U nóg twych kładę: O! żałosna wdowo
Polskiego ludu! O! Matko w żałobie
Tych co śpią w krwawym pochowani grobie,
I tych — co wierzą, że wstaniesz na nowo;

O! ty gotowa twą krew Chrystusową
Rzucić na twarzą wątpiące i blade,
WARSZAWO! Tę Pieśń ci pod nogi kładę,
I nóg skrwawionych twoich sięgam głową.

Bo ja nie wierzę, żebyś ty się zlękła
Carskiego czoła i carskich rycerzy:
A gdy mówiono, żeś przed nim uklękła,
Tom był jak człowiek, gdy grom weń uderzy;

Potem schyliwszy czoło zamyślone,
Rzekłem: żeś klękła ty po tę koronę,
Co spadła z głowy, i u nóg ci leży.

J. SŁOWACKI

BOLESŁAW ZUBRZYCKI

NIE BĘDZIE W TYM ROKU ZJAZDU WE LWOWIE

I.

Co roku, pod koniec lata, gdy miasto zaczynało się przebudzać z głębokiego snu wakacyjnego, wyładowywały się pod szklanem sklepieniem dworca głównego gromadki młodych ludzi, objuczonych walizkami i nieodłącznemi tobołkami z pościelą oraz niezliczonemi radami rodziców i nauczycieli, pod których światłem kierownictwem przepłynęli niedawno przez Scylle i Charybdy egzaminów dojrzałości. Po znojnych chwilach zmagania się z bagażem, oddawanym do dworcowej przechowalni i dziesięciominutowej podróży sławną łyczakowską jedynką wylądowywali w obszernym, chłodnym westybulu Politechniki.

Tu z karteczek na tablicy "Ogłoszenia Studentów" odcyfrowywali adresy pokoi do wynajęcia, przy rozstawionych na tę okazję specjalnie stołach studjowali programy i druki, wyjaśniające warunki i terminy wstępnych egzaminów konkursowych, od zawsze ważnych i zawsze uprzejmych portjerów dowiadywali się, jak w labiryncie korytarzy i budynków odszukać biura dziekanatów, kwestury czy sekretarjatu.

W długich kolejkach przed dziekanatami, w niecierpliwych ogonkach, wyczekujących na egzaminy, przy ceratą pokrytych stołach bufetu i kuchni bratniackiej, nad porcją lodów u nieśmiertelnej "mamy" Englowej czy szklanką piwa u niemniej nieśmiertelnego Folty czy Skulskiego zawiązywały się pierwsze znajomości i pierwsze przyjaźnie. Przyjaźnie koleżeńskie, które miały potrwać czasem tylko tydzień, czasem tylko rok, lecz zwykle całe życie. Tak było co roku.

Mijały miesiące i mijały lata. Nieśmiali chłopcy z Brzeżan, Sokala, Baranowicz czy Pelplina, przebrnąwszy przez pełne wrażeń i tremy godziny egzaminu konkursowego stawali się szybko doświadczonymi, wystawnymi wyjadaczami, równie dobrze obznajomionymi z traktyką i strategją rozlicznych ćwiczeń i egzaminów, jak i z urokami, jakie mieściło w sobie stanowisko "technika" w mieście, obsypującem młodzież swej ukochanej szkoły wszystkiemi możliwymi przywilejami, od zniżek w teatrach, kinach i tramwajach do specjalnie "dla Panów Techników" zniżonych rachunków panów mistrzów krawieckich i szewskich.

Zżywali się i zrastali z miastem, tak jak zżywali się i zrastali ze szkołą. Wieczorny spacer po Akademickiej, romantyczna randka w Parku Stryjskim lub na Żelaznej Wodzie, nocna lumpka starym szlakiem od Burkera czy Moszkowicza do Groty czy Piekiełka stawały się dla nich taką samą częścią życia, jak długie godziny nad stołem rysunkowym czy laboratoryjnym. Niezależnie od tego, skąd przybyli i dokąd wyjeżdżali na święta i wakacje, stawali się lwowianami, żywą składową miasta, równie swoją i równie charakterystyczną, jak śpiewny akcent "Górnego Grodka", czy Łyczakowa.

Przepływali przez laboratorja, pracownie, instytuty, przez egzaminy i kollokwja, przez trudności projektów i pierwszych prac samodzielnych, przez żmudę analiz i rozczarowania pracy badawczej, by po sześciu, ośmiu, czasem piętnastu latach znów stanąć w ogonkach, jakże tym razem krótkich, do dziekanatów, by wypełnić ostatnie formalności zgłoszeń do egzaminu dyplomowego. By wreszcie, po emocjach tej nieraz parotygodniowej, ostatniej próby złożyć pożegnalne wizyty po katedrach i stowarzyszeniach, załatwić ostatnie rachunki w kwesturze i Bratniaku, oddać ostatnie książki w bibljotece, zaśpiewać w gronie najbliższych przyjaciół starą pieśń o radościach młodości i uciążliwości wieku podeszłego i pożegnać na zawsze szkołę i miasto, utrwalone w pamięci najpiękniejszemi wspomnieniami młodości.

Rozjeżdżali się na wszystkie strony, — na Śląsk, do przemysłowych miast Zachodu, do lasów Białowieży i Karpat, do instytutów i zakładów badawczych, na placówki techniczne w całym kraju. Wywozili z sobą cenny skarb w postaci skromnego świstka papieru, tak niepozornego, jak świadectwo szkoły powszechnej, z drukowanym nagłówkiem: "Świadectwo Egzaminu Dyplomowego". To był zewnętrzny wyraz kapitału, który zdobyli w starej szkole.

II.

Wykształcenie, jakie stara szkoła dawała swym wychowankom było kapitałem poważnym. Jego podstawą było doświadczenie techniczne i dydaktczne czterech pokoleń uczonych i pracowników naukowch, którzy od czasu założenia Akademji Technicznej we Lwowie w r. 1844 bezustannie pracowali nad rozwojem nauk technicznych w Polsce, nad unowocześnieniem technologicznem naszego kraju i nad wychowaniem w społeczeństwie polskiem nowoczesnego i postępowego stanu inżynierskiego, o poziomie równym z najwyżej postawionemi technicznie krajami Europy.

Praca tych ludzi nad rozwojem szkoły, która była nietylko najstarszą akademicką szkołą techniczną w Polsce, ale i jedną ze starszych instytucji nowoczesnego nauczania technicznego w Europie była nieprzerwaną walką o postęp; metody nauczania i programy szkoły ulegały ustawicznemu doskonaleniu, tak jak ustawicznemu doskonaleniu ulegały w tym okresie narzędzia ludzkiego panowania nad materją.

W murach tej szkoły, wzniesionych w r. 1872 podług planów wielkiego Zacharjewicza wykładał kiedyś teorję maszyn ojciec polskiej mechaniki Franke, architekturę Zacharjewicz, Górnictwo Leon Syroczyński, budowę dróg Karol Skibiński, Chemję Maurizio, Pawlewski, Niementowski.

Tu powstawały pierwsze polskie podręczniki nauk stosowanych, pierwsze wielkie monografje techniczne w języku polskim, tu rozwijało się i kształtowało polskie słownictwo techniczne. Tu przez dwadzieścia lat atakował Wiktor Syniewski nieznaną strukturę chemiczną skrobji, tu Tałowski, a później Zubrzycki próbowali odtworzyć z zabytków naszego budownictwa wygasłą legendę polskiego stylu w architekturze, z pomników w kamieniu i cegle odcyfrować treść i dzieję minionego życia.

Tu rozwijał konstrukcję mostów drewnianych Maksymiljan Thullie, najstarszy z profesorów, tu opracowywał swe klasyczne rozprawy Huber, tu Juljan Fabjański rzucał podstawy teoretyczne pod rozwój techniczny wiertnictwa naftowego, tu eksperymentował Ignacy Mościcki nad długim szeregiem swych wynalazków.

Z tą starą szkołą związani byli pracą całego życia uczeni wielkiej miary i wielkich zasług: Kazimierz Bar-

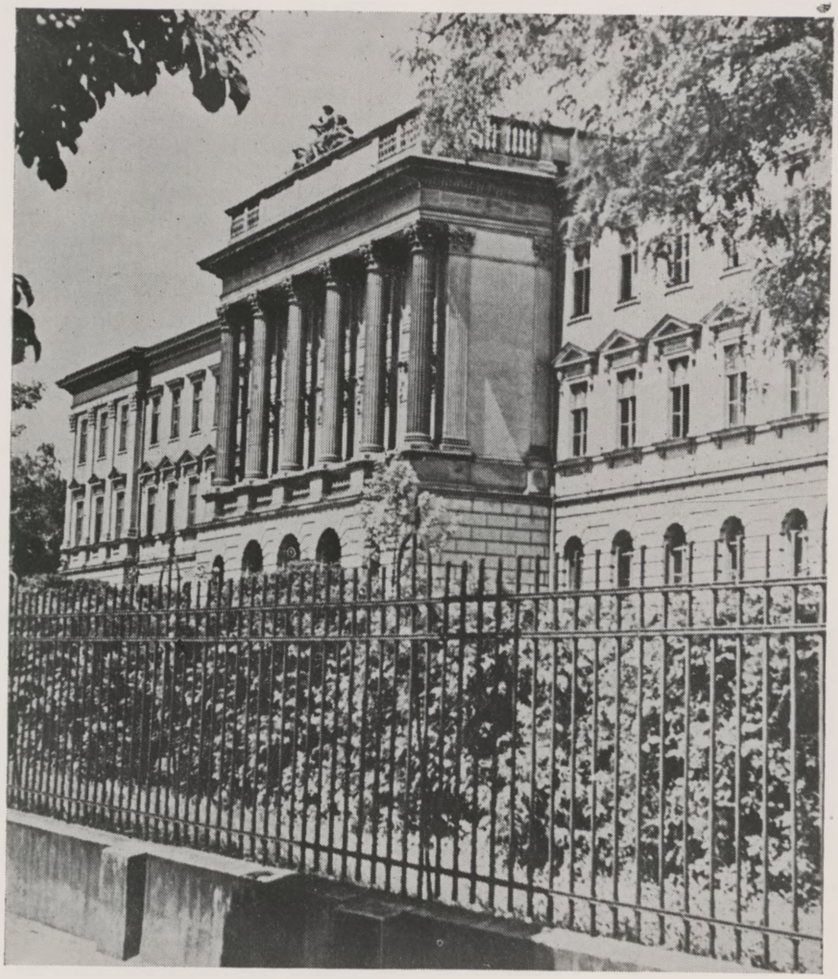
TYGODNIK POLSKI
is
PUBLISHED WEEKLY
by
TYGODNIK POLSKI
at
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Editor:
Jan Lechoń

Subscription:
Monthly 60 cents
Half yearly $3.50 Yearly $7.00

"Entered as second-class matter April 27, 1944 at the post office at New York 1, New York, under the Act of March 3, 1879"

tel i Gabriel Sokolnicki, Edwin Hauswald i Roman Witkiewicz, Stanisław Fryze i Kazimierz Idaszewski, Stanisław Anczyc i Jan Łopuszański, Kasper Weigel, Otto Nadolski, Ludwik Ebermann, Stanisław Pilat, Wacław



Politechnika we Lwowie

Leśniański, Adolf Joszt, Karol Malsburg i wielu, wielu innych.

Obok matematyków, jak Łomnicki, Stożek, Maksymowicz i Bottcher, obok fizyków, jak Godlewski, Reczyński, Malarski i Rubinowicz, obok plejady konstruktorów, architektów, chemików, technologów pracowali tu cicho i samotnie botanik Szymkiewicz i zoolog Fuliński, geolog Tesseyre i petrograf Tokarski, ekonomista Caro i prawnik Wereszczyński, fotografowie Mikolasch i Romer, wysoko na poddaszu zaszyty astonom Grabowski, niepodzielny władca obserwatorjum i wszystkich zegarów Politechniki.

Poświęcenie i zapał wychowawców udzielały się młodzieży i młodszemu personalowi naukowemu; z pełnem zaparciem się siebie, nie bacząc na brak materjalnych korzyści opracowywali oni zbiorowo skrypty i wydawnictwa, zbierali materjały do prac i publikacji, tworzyli własne studenckie bibljoteki, bogate w wielojęzyczną literaturę podręcznikową. Organizowali kursy i ćwiczenia praktyczne technik i rutyn specjalnych, zbiorowe wycieczki do okręgów przemysłowych i praktyki wakacyjne w przemyśle.

Ten pęd pionierski młodzieży do czynnego udziału w rozszerzaniu widnokręgów techniki polskiej był źródłem bogatem twórczości oryginalnej, nacechowanej śmiałością myśli i polotem wyobraźni; z niego brały swój początek karjery naukowe żelaznego studenta Banacha, elektromontera Fryzego, robotnika kolejowego Bartla. Rodziła te karjery atmosfera aktywna i twórcza, jaką owiana była stara szkoła.

Młodzi budowali własnemi rękami w epoce pierwszych lotów Bleriota i braci Wright pierwszy polski samolot, obliczany w salach rysunkowych Politechniki, konstruowany w szopie na podwórzu Głównego gmachu. Studenckie warsztaty budowały w wiele lat później, po odzyskaniu Niepodległości pierwsze polskie ślizgowce, na których stawiało swe pierwsze lotnicze kroki wielu późniejszych obrońców Londynu.

Taki to kapitał wiedzy fachowej i entuzjazmu dla pracy dawała swym wychowankom stara szkoła; trudna, wymagająca, surowa w ocenach, lecz jakżesz ludzka, ojcowska w swych metodach wychowawczych.

III.

Szkoła, stworzona we Lwowie edyktem monarszym formalnie tylko związaną była z systemem edukacyjnym Cesarstwa Jego Apostolskiej Mości. Z ducha i krwi była ona przedewszystkiem realizacją i kontynuacją myśli Staszicowskiej, która złamana na terenie Królestwa Kongresowego prześladowaniami po powstaniu listopadowem zdrową glebę znalazła w latach czterdziestych na terenie zawsze patrjotycznego Lwowa.

Był to jednak wiek romantyczny i trzeźwy, stoicki realizm gospodarczy i polityczny Staszica skrzyżować się musiał, siłą rzeczy, z fanatyczną wiarą w niezwyciężoność ideału, tak charakterystyczną dla nadciągającej epoki Mochnackiego i Mazziniego.

Prądy i konstelacje, pod któremi rodziła się lwowska Akademja wywarły decydujące wpływ na kształtowanie się jej wewnętrznej, duchowej istoty. Nie mogło być też inaczej. Bo przecież w cztery lata niespełna od jej założenia czerwienił się bruk miasta krwią i odblaskami pożarów, — wzniecionych pociskami z armat generała Hammerlinga, a na Górze Stracenia stanęły szubienice, które miały przypomnieć miastu i krajowi, że droga do wyzwolenia prowadzić musi przez ogień i krew i ofiary. Młodzież Akademji Technicznej przeszła swój chrzest bojowy.

Skrzepła w sobie szkoła i w r. 1863 cała niemal młodzież, nie wyłączając licznych synów urzędników i wojskowych austryjackich, ruszyła na północ, za Bug i San, by wziąć czynny udział w walce z najstraszliwszym z wszystkich wrogów wolności. Z członków zarządu dwa lata przedtem założonego Towarzystwa Bratniej Pomocy nie wrócił żaden, bo wszyscy polegli.

W ciężkim okresie żałoby po bolesnych doświadczeniach młodości tem silniej się odezwał w pracach szkoły niezwyciężony duch Staszicowy "Zbierać rozproszone na polach klęski skarby i siły polskości, do ziemi przylgnąć, zróść się z nią, i jak ona, stać się niezniszczalnym, pracą twardą i konstruktywną budować ośrodki siły, które potem zamienimy w warownie oporu"; w takiej to filozofji znajdywała przemianowana w r. 1872 na "Szkołę Politechniczną" lwowska uczelnia cel i sens swego bytu.

Oto Edward Kovacs wyrusza na Podhale, by utrwalić zapoznane budownictwo tej ziemi w pracach rozlicznych, oto Antoni Popiel, profesor i rzeźbiarz znakomity utrwala w bronzie Mickiewicza na placu Marjackim, oto młody wychowanek szkoły, Stanisław Szczepanowski, stawia podwaliny nowoczesnego przemysłu naftowego na terenie, przez Boga i ludzi, zda się opuszczonego Podkarpacia. Nie został jednak nigdy zapomnianym testament lat romantycznych i szara, realistyczna praca nie zamieniła się nigdy w oportunistyczną pogoń za dobrobytem jedynie, pozostając zawsze świadomem budowaniem siły i mądrem przygotowaniem do boju.

Mury Politechniki, tak jak i miasto całe, są miejscem azylu dla wszystkich, którzy nie słuchając argumentów organiczników, nie wyrzekli się swego snu o szpadzie i przeciwstawiają się złu czynem orężnym, akcją bezpośrednią tu we Lwowie i na Politechnice splatają się liczne węzły i ogniwa organizacyjne Polski, która się nigdy nie poddała.

Tu kształcą się kadry, tu formują się szyki. Ścierają się na zebraniach młodzieży programy i metody, zarysowują się indywidualności przywódców. Ściera się twórca "Kuźnicy" Bartel z bratem Zetowym Sokolnickim: "Krawatkę mi wtedy na zebraniu Bratniaka wydarł Sokolnicki" — opowiadał w dwadzieścia kilka lat potem autorowi tego artykułu. Zarzewiak Neugebauer walczy na słowa i poglądy z popularnym mówcą lewicy, Sikorskim; huczy od dyskusji sala matematyki, na której się odbywały zebrania.

A w lesie na Pohulance, między zielenią buków, w ukryciu przed okiem ciekawych ćwiczy swych przyszłych żołnierzy student Kazimierz Sosnkowski. Z pod krzaczastych brwi przyglądają się ćwiczeniom szare oczy milczącego człowieka, który umiał, nigdy nie będąc profesorem, ani nawet studentem Politechniki, zamienić ją w Szkołę Główną swojego Sztabu.

Ciężkie, deszczowe chmury ciągnęły nad Cytadelą...

IV.

Goiły się na ścianach ślady kul. Nowem życiem wypełnił się stare mury. Wracali studenci i profesorowie. — Wracali zewsząd; z frontów wojny bolszewickiej z powstań Śląskich, z bojów o Pomorze i Wilno, ze szpitali i obozów jeńców, repatrjanci z Syberji i Turkiestanu, oficerowie i szeregowi, zdrowi i inwalidzi.

W pogawędkach koleżeńskich wspominają lata i kampanje minione, zmienny tok porażek i zwycięstw, doli i niedoli. Są tacy, którzy pamiętają Oleandry i Pantyr, Szczypiorno i Huszt. Inni obronę Poczty i domu na Issakowicza. Inni Przemyśl i włoski front. Mówią o kolegach, którzy zostali w wojsku i o tych, którzy zostali pod Warszawą i Zadwórzem, na haldach Śląska. Patrzą z podziwem młodsi na wstążki orderów w butonierkach. Nowa fala entuzjazmu zalewa starą szkołę.

Powstają nowe katedry i nowe instytuty, powiększa się bibljoteka, rozszerzają budynki. Własnemi rękami buduje młodzież swój drugi dom, duży, nowoczesny, piękny. Pierwszy nowoczesny dom studencki w Polsce. Na pięciu wydziałach Politechniki każdy rok znaczy się nowym postępem, nowymi ulepszeniami programu, powiększeniem inwentarza, usystematyzowaniem pracy.

Wychowankowie szkoły budują fabryki, drogi, koleje, radjostacje i budowle publiczne, zagospodarowują przejęte po zaborcach zakłady przemysłowe, opracowują, często z wydatną pomocą swej dawnej Alma Mater nowe lepsze metody pracy i produkcji. Dochodzą do najwyższych, kierowniczych stanowisk w życiu Państwa w Armji, w gospodarstwie: są premjerami Jędrzej Moraczewski, Władysław Sikorski, Kazimierz Bartel. Są ministrami i inspektorami armji, dowódcami OK, szefami departamentów, zakładów przemysłowych. I mimo, że dzielą ich, jak za lat bratniackich, poglądy i metody działania, pracują wydatnie i konstruktywnie, pomnażają bogactwo ziemi, ulepszają dolę ludzką; testament Staszicowy, ideologja konstruktywnego działania wszczepiona w starej szkole łączyła ich wysiłki i dążenia.

Jak dawniej, huczy w czasie zebrań studenckich stara sala matematyki. A w ciepłe wieczory letnie, gdy fronton Głównego Gmachu jaśniał w promieniach zachodzącego słońca, gdy zapach bzu i jaśminu zalewał ogród Politechniki spotykały się pod pomnikiem Orląt pary zakochane.

o o o

Na salach leżeli gęsto ranni. Rany ropiały straszliwie, nie było ani leków, ani opatrunków. Obcy żołnierze odmierzali dostawy ubogiej strawy, przeliczali inwentarz szpitala, plątając się po westybulu. Ogłoszono wpisy. Rejestrowano profesorów i asystentów, organizowano z nich profesorów pracowników naukowych. Potem zwołano młodzież, objaśniał im ktoś w obcym języku, z obcego kraju, jaki teraz będzie porządek. Ktoś z młodzieży protestował; ciężko rannych ukryli i opatrywali lekarze polskiego szpitala, po korytarzach gonili agenci obcej policji politycznej. Potem szpital ...enny No. 601 ewakuowano. Przy wpisach urzędował nowy egzaminator ... studenci musieli przejść przez egzamin z politgramoty.

... szary, deszczowy dzień listopada wypędzono ludzi z mieszkań do głosowania. To był plebiscyt. W gimnazjum koło Marji Magdaleny urzędowała komisja wyborcza, szpicle w cywilu i mundurach. Wszystkie kartki były jednakowe. W westibulu rozwieszono ogromne ikony. Nazywają to "krasnyj ukutok."

Przychodzili zawsze koło północy. Miasto było bezsenne z trwogi. Rankami szły długie szeregi na dworzec, w karnych czwórkach, otoczeni policją. Kazano im śpiewać: "Dzień to będzie ostatni"; śpiewali z głowami zwisającemi z ramion, jak z szubienicy.

Potem była tylko ciemność.

o o o

W tym roku mieliśmy się wszyscy zjechać we Lwowie. Stara szkoła miała obchodzić swoje stulecie. Miały być przemówienia i referaty i uroczysty śpiew Gaudeamus. Mieli być goście z za morza, z wszystkich krajów i wszystkich Politechnik świata. Od lat przygotowywano program zjazdu, od lat sposobiła się szkoła na swoje wielkie święto. W wielkiej księdze pamiątkowej miano spisać dorobek stu lat, podsumować rezultaty pracy.

Nie będzie w tym roku zjazdu we Lwowie.

o o o

Po morzach i lądach wędrujemy do Ciebie, Staro Szkoło. Po obcych ziemiach, dla obcych ludzi budujemy czołgi i samoloty, armaty i okręty. W grobach leżą koledzy i mistrzowie nasi. W ruinach są domy i dzieła nasze.

Pozostały: Testament Staszicowy i cień szubienic na Górze Stracenia.

W POPRZEDNIM 31 (83) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

STANISŁAW STROŃSKI

1815 — 1919 — 1945

Wojna, szczególnie w Europie, ma się ku końcowi, po pięciu latach, a nawet gdyby się jeszcze przeciągała dłużej niż należałoby obecnie oczekiwać, weszła już w okres końcowy, którego istotą jest nieco krótsze czy nieco dłuższe dobijanie Niemiec. Nie znaczy to wcale, by ta przedostatnia doba wojny miała być ciężka tylko i wyłącznie dla Rzeszy Niemieckiej. Dużemi ofiarami Narodów Zjednoczonych będzie jeszcze usłana ich droga do zwycięstwa, a w szczególności kraje podbite obecnie przez Niemcy przeżyją jeszcze dnie grozy. To jednak pewna, że Niemcy, które przed trzema laty mogły uderzać i uderzały gdzie chciały i kiedy chciały, teraz walczą tylko o opóźnienie klęski.

Czas myśleć już stale i nieleniwo o załatwieniach pokojowych.

Jest to, po tej wojnie, sprawa olbrzymich, niemal niepojętych, rozmiarów. Wojna przeorała przeważną część świata, a przedewszystkiem Europę, wzdłuż i wszerz, znacznie głębiej niż zawierucha napoleońska i niż wojna poprzednia. To co się działo i postanawiało na Kongresie Wiedeńskim 1815 i na Konferencji Paryskiej 1919 nie było błahe, bo całe państwa zapadały się lub wyrastały, a zarazem powstawały twory najszumniejszego zakroju, jak Święte Przymierze i Liga Narodów. Lecz obecny przełom ma przed sobą zadanie znacznie większe i twardsze.

Prawdopodobnie z obu tych poprzednich wielkich układów pokojowych czerpać będzie można więcej ostrzeżeń niż wzorów.

Kongres Wiedeński był, z grubsza rzecz określając, w przepychu świetnego obcowania towarzyskiego, przekupnem targowiskiem bezeceństw, a Konferencja Paryska była, naogół biorąc, wśród szlachetnych uniesień i wzlotów ku wielkiej naprawie, pokazem cnoty podszytej naiwnością.

Wiadomo zaś, że błędy kongresów żłobią łożyska dziejów, w których następnie męczą się i krwawią narody.

Kongres Wiedeński, do którego stołu car Aleksander wciąż i natarczywie zapraszał Pana Boga, choć dobrze wiedział, że Metternich i Talleyrand pod stołem stale trącali się z djabłem, a i on sam był nie od tego, by czasem poczuć na butach igranie djablej kity, sterował gorliwie i niezawodnie pod tym znakiem, by wszelkie zło, które nagromadziło się w Europie przed Wielką Rewolucją Francuską i przed hasłami pochodów Napoleona wstrząsających narody, przywrócić w całej okazałości i utrwalić wieczyście. Wśród błędów i win jego, jak okaleczenie Włoch nadal na rzecz Austrji i staranne podpieranie rozbicia ich na zgniłe dwory, zaniedbanie spraw i narodów Półwyspu Bałkańskiego, utorowanie Prusom drogi do przewagi w Niemczech, zbrodnia najjaskrawsza było zatrząśnięcie wieka nad trumną, z której Polska zrywała się w Legjonach i w Księstwie Warszawskiem, i uświęcenie międzynarodowe rozbiorów, dokonanych przez trzy mocarstwa zaborcze. Potem przyszły ruchy i wojny o zjednoczenie Włoch, przyszła Wojna Krymska i później Wojny Bałkańskie, przyszły pruskie Niemcy Hohenzollernów i ich dążenie do przewagi w Europie, przyszło stulecie szamotania się Polski o niepodległość w walce z uciskiem, tak że już w poprzedniej wojnie wolność narodów, z Polską jako probierzem, stała się sztandarem.

Konferencji Pokojowej w Paryżu nikt nie zarzuci braku dobrej woli. Przewódcy jej, z Clemenceau, Prezydentem Wilsonem i Lloyd Georgem na czele, byli wybitnemi przedstawicielami współczesnych pojęć o wolności, sprawiedliwości i uczciwości w życiu międzynarodowem, a zarazem grało w nich żywe poczucie nowoczesne odpowiedzialności wobec własnych społeczeństw i wobec świata. Postanowienia polityczne Konferencji, wśród których naczelne miejsce przypadło wskrzeszeniu niepodległości narodów, były naogół słuszne, podobnie jak obciążenie Niemiec odszkodowaniami i rozbrojeniem, a również myśl przyszłego działania na rzecz sprawiedliwości międzynarodowej i zapewnienia pokoju, wyrażona w Lidze Narodów, była zdrowa. Nie traktat Wersalski wraz z Paktem Ligi był zły, lecz to chromało, że między postanowieniami a wprowadzeniem ich w rzeczywistość nie rzucono mocnego pomostu, licząc nadmiernie na dobrą wolę zbiorową, w którą trzeba wierzyć, ale której nie można ufać w zwalaniu na nią zadań niedość ściśle określonych. Zawiodły rachuby na Niemcy, które się poprawią, oraz na samą tylko moc ducha współpracy narodów w obronie pokoju. Następstwem jest wojna obecna.

Oto ostrzeżenia, które przeszłość przekazuje nadchodzącym załatwieniom powojennym:

— Dużo więcej uczciwości niż na Kongresie Wiedeńskim i po nim, oraz dużo więcej trzeźwości niż na Konferencji Paryskiej i po niej.

Niema cudów na tym świecie. Nie trzeba też się łudzić nadmierną pomysłowością. Poprostu uczciwość z trzeźwością mogą, po staremu, zrobić dużo dobrego.

LISTA OPIEKUNÓW "TYGODNIKA POLSKIEGO"

R. Rathaus, New York City — $25.

Poniżej podajemy do wiadomości list, jaki otrzymaliśmy od Studentów Uniwersytetu De Paul:

Szanowny Panie Redaktorze,

Jako stali czytelnicy Tygodnika Polskiego, admirujący jego szatę zewnętrzną, dbałość o piękno języka i dobór interesującej treści, składamy na ręce Szanownego Pana Redaktora słowa gratulacji i gorące życzenia najlepszego rozwoju prowadzonego przez Niego pisma, które w podziwu godny sposób informuje o stanie oraz żywotności kultury polskiej.

Ponieważ zdajemy sobie sprawę z trudności finansowych Wydawnictwa, prosimy o przyjęcie załączonej sumy 61.00 dolarów, zebranej drogą dobrowolnej składki studentów. Jednocześnie donosimy, że z naszego grona przybywa 4ch nowych prenumeratorów Tygodnika Polskiego.

Z głębokim szacunkiem

Studenci i Studentki
Wydziału Polonistycznego
Uniwersytetu De Paul, Chicago, Ill.

Jesteśmy głęboko wdzięczni i dziękujemy najserdeczniej.

ARMJA PODZIEMNA WALCZY O WARSZAWĘ

W chwili, gdy numer ten oddajemy do druku Polska Armja Podziemna walczy o wyzwolenie Warszawy, walczy z wielokroć potężniejszym i wspaniale uzbrojonym wrogiem, sama uzbrojona niedostatecznie i tylko przez angielskie lotnictwo zasilana amunicją. Jeszcze raz pali się Warszawa, jeszcze raz padają w gruzy jej zabytki i pomniki, jeszcze raz płynie rzeką krew jej najlepszych synów, i okrucieństwo nieznane od średniowiecza, zakładnicy gnani są jako żywe tarcze pod strzały braci.

Krew miljonów naszych męczenników, świeżo przelana krew Armji Podziemnej woła do świata o sprawiedliwość dla Polski, woła do nas o pomoc dla Ojczyzny o największy wysiłek sumienia i woli, aby tak wzniosłe męczeństwo, tak wspaniałe bohaterstwo nie poszły na marne.

Los Polski, los jej być może na zawsze, nie zależy bynajmniej, jak to myślą i wmawiają w nas ludzie małoduszni — tylko od obcych, tylko od potężniejszch niż nasza wola wypadków.

Zależy on taksamo od naszych czynów, od naszej woli, od naszej myśli nawet, od wszystkich aktów moralnych, które rodzą czyny i zmieniają rzeczywistość.

Kraj nasz męczeński, pokolenie przyszłe, historja nasza, będą nas sądzić i każdy z nas wolnych i sytych stoi pod tym wyrokiem.



GRÓB NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA W WARSZAWIE
(dzieło Stanisława Ostrowskiego)



Żołnierze i żołnierki Armji Podziemnej



Armja Podziemna słucha Mszy Świętej



Żołnierze Armji Podziemnej w płaszczach maskujących

JAN LECHOŃ

"BAL U SENATORA"

(FRAGMENT POWIEŚCI)

W prostej, jakże znanej, tak prostej że jej piękna niesposób było określić frazie pieśni odnajdywał nagle Kątski ratunek na cierpienie, o którem nawet nie myślał, tak wydawało mu się beznadziejne i naturalne, na cierpienie przytem tak własne że niesposób było z kimkolwiek go podzielić, komukolwiek je zwierzyć, czy kogokolwiek prosić o radę.

Jego sytuacja artystyczna, tak kiedyś namiętnie dyskutowana, oddawna przestała budzić spory i ostatni jego, najbardzij zagorzali wrogowie oddawna złożyli broń, uznawszy walkę za przegraną i doszedłszy do wniosku że taktyka wymaga aby pogodzić się z istnieniem Kątskiego i jego muzyki.

Stało się to ze względów, niewiele mających ze sztuką wspólnego, z których najbardziej jeszcze artystycznym był tem, że po śmierci starego Suryna "zawakowało" jak mówił Hołyński "miejsce pierwszego kompozytora polskiego" i chcąc nie chcąc trzeba było na nie awansować Kątskiego. Jego konkurenci byli doprawdy już zanadto prowincjonalni i sfery rządowe, choć gremjalnie niemuzykalne i w gruncie rzeczy uważające szlagiery z "Qui pro quo" za szczyt muzyki — zorjentowały się przecież że takich typów nietylko nie będzie można pokazywać zagranicą ale nawet wprościć ich do obcych legacji w Warszawie. Uważając go więc w dalszym ciągu za deprawatora, za robaczywy owoc, toczony przez zagranicznego raka, całą zaś jego karjerę za skutek międzynarodowych machinacji, z któremi niesposób było walczyć zahukanym Polakom — pasowano jednak Kątskiego z dnia na dzień na lumen i ozdobę polskości, na dziedzica nietylko Chopina ale nieomal Mickiewicza, któremu w aktualnem pokoleniu pisarzy niesposób było wynaleźć następcy.

W jego symfonjach, tak niedawno jeszcze ogłaszanych za "wycie małp w klatce" doszukano się teraz, Bóg wie jakich, prasłowiańskich dźwięków; jednemu krytykowi "Zygmunt" w nich dzwonił, innemu Szczerbiec chrzęścił, innemu pluskała Elstera, kryjąca zwłoki księcia Józefa; słowem podłożono pod tę muzykę tak czystą, tak wieloznaczną, pojęcia najbardziej wytarte po wszystkich pompatycznych ceremonjach i nic z nią nie mające wspólnego.

Powróciwszy kilka lat temu z zagranicy i przygotowany na krótki tylko pobyt w Warszawie, skąd go nieomal jak czarownicę wyświęcono — Kątski, któremu Krzyża Kawalerskiego dwa lata zaledwie przedtym dać nie chciano — nagle z największym zdziwieniem dostał Komandorję "Polonji", w parę dni potem z jakiejś naciągniętej okazji zaproszenie na obiad do generała Bonera; poczym poszła już reklama żadnej zgoła miary nieznająca: jakieś jubileusze, koncerty na prowincji z wręczaniem obywatelstwa honorowego; raz po raz nazywano jego imieniem jakąś szkołę muzyczną lub powszechną, ba nawet ulice w nowopowstających uzdrowiskach, słowem spłynęło naraz na Kątskiego wszystko co dać mogła w biednej Polsce nie artystyczna nawet, ale raczej wojskowa czy rządowa zasługa. Liczyć, że taki kapitał załgania i tromtadracji włożywszy w kreację jednego z największych współczesnych, który "imię Polski szeroko rozsławili po świecie", nagle przy okazji jakiegoś artystycznego potknięcia się — cofnie mu opinja zaawansowaną sławę i honory, byłoby szlachetną naiwnością, zupełnie nie w stylu Kątskiego; szybko też zrozumiał, że jest teraz skazany już nazawsze na ową polską obrzędową wielkość tem trudniejszą do podważenia że chodziło o muzykę, na której tak mało w Polsce się znano. Wiedział też że opinji i rządowi byłoby właściwie najwygodniej, aby nic więcej już nie tworzył bo to zmuszało do nowych poruszeń, mów i deklaracji na tak śliskim jak muzyka terenie, gdzie tyle było pola do potknięć się i gaff, w których właśnie dyrektor departamentu sztuki celował.

Został więc Kątski w kraju zupełnie sam z innych niż był przed paru laty przyczyn, może jednak bardziej niepokojąco i tragicznie.

On jeden znał wartość swego dzieła i jeśli przedtym szalał ilekroć słyszał swe nazwisko wymawiane jednym tchem z nazwiskami skończonych muzycznych jołopów — teraz z dobrze ukrywanym wstydem przyjmował przyznany mu bez dyskusji tytuł następcy Chopina, którym chciał, którym mógł zostać, ale którym, on to właśnie wiedział najlepiej, nie miał prawa się nazywać.

W dawnej krzywdzie, w owych kubłach pomyj, które na niego lano w prasie, w furji, z jaką szarpano nietylko jego sztukę, ale nawet jego prywatne życie Kątski choć jak wszyscy ludzie złośliwi przesadnie wrażliwy na złośliwość, widział przecież jakieś tchnienie tragiczne, jakieś wezwanie do walki i zapowiedź jakiegoś niezwykłego, może dopiero pośmiertnego tryumfu.

Teraz otoczony był przez entuzjastów, chwalców, pochlebców ale widział jasno, że nawet wśród najoddańszych mu uczniów i wielbicieli tylko nieliczni naprawdę pojmowali jego muzykę, większość zaś szła za nią bo uważała ją za protest przeciw starym, zagradzającym nowemu pokoleniu drogę do wybicia się; nieraz też w myślach przeznaczał tego czy innego z najhałaśliwszych swych chwalców na odstępstwo, których niemało się zresztą doczekał.

Poczuwszy się naraz bez wrogów zobaczył niebezpieczeństwo stokroć groźniejsze od wszystkich oszczerstw i pamfletów, które tak go czepiały się w jego heroicznym okresie; zobaczył że owe groźne fortece, które z taką namiętnością starał się zdobywać były złudzeniem, że nie było właściwie nikogo do zwalczania, że osiągnąwszy ową marzoną niegdyś sławę, niczego właściwie nie zdobył. Samotność, którą teraz odczuwał, nie było to oczywiście fizyczne opuszczenie: Kątski był teraz jak nigdy otoczony, poszukiwany, fetowany. Ale pomiędzy tym światem, w którym się znalazł, który go wchłaniał, czynił swoim, na który on pozornie bez buntu przystawał, z którym zdawał się ostatecznie łączyć a nim samym, prawdziwym, takim jakim chciał być, jakim, zdawało mu się pomimo wszystko pozostał, z dni młodości — nie było żadnego prawdziwego porozumienia, prócz umownych znaków, prócz słów, form i światowych obrządków, które dla obu stron znaczyły zupełnie co innego.

Powróciwszy do kraju nie zastał już starego Romana Kotsisa, który z trudem wypracowywał uczone i niepotrzebne symfonje, ale o którym Kątski mawiał, że to on powinien tworzyć jego, Kątskiego, dzieła, bo wyłączniej, bardziej świadomie, niż on kochał muzykę, i jeśli Kątskiego wszystko właściwie zajmowało w życiu, to dla Kotsisa muzyka była wszystkiem, samem życiem i całem życiem. Kątski nie znosił właściwie rozmów o muzyce, podświadomie bowiem czuł, że jest jednym z paru ludzi, którzy rozumieją w niej wszystko, którzy nieomylnie docierają instynktem do istoty rzeczy, a więc mają zawsze rację, pocóż więc było spierać się z nieszczęśnikami, którzy albo nic nie rozumieli albo mozolnemi dociekaniami dochodzili do tego, co on pojmował odrazu. Ale Roman Kotsis przez ironiczny paradoks swej natury, nie bę-

dąc twórcą, we własnych utworach, pozbawiony tej bezkrytycznej bezpośredniości bez której tworzenie jest ustawiczną męką — jeśli jest wogóle możliwe, stawał się namiętny, niezawodny, żywiołowy, jasnowidzący, kiedy czynił to, co zwykle kojarzymy z pojęciem chłodu i ścisłego rachunku — był on wielkim improwizatorem — twórcą w krytyce.

Nie pisał zresztą nigdy, jakby bojąc się, a raczej przekonany, że toby zdradziło jego talent prawdziwy i zarazem przez kontrast podkreśliło uczoną nicość jego kompozycji; wierzył, że jego bohaterskie zmaganie się, jego trud, wyrzekający się wszystkiego byle dotrzeć do tego, co jest nowe i własne muszą być kiedyś odpłacone, i że kiedyś stworzy dzieło, które go wypowie, które zostanie; gdyby zaczął pisać krytyki — dałby im całą namiętność, całą swą oryginalność, którą chował na owe wymarzone dzieło.

Kątski znudzony wytartemi i zdawkowemi pochwałami krytycznych lizusów i oportunistów, nieraz przystawał teraz z sercem ściśniętm przed typową warszawską ciemną bramą na Marszałkowskiej, do której ileż razy wchodził aby drapać się na czwartek, gdzie w maleńkiem mieszkanku umeblowanem bez żadnego stylu ale z prawdziwie natchnioną harmonją — stary Roman Kotsis, nieposzlakowanie elegancki w starych ubraniach, zawsze uczerniony i pachnący lawendą, odkrywał przed nim jego samego, pokazywał mu najdalsze, a wszystkie osiągalne dla niego szczyty i najtajniejsze a najzdradliwsze bezdroża.— Teraz nie było już Kotsisa, i nie było nikogo ktoby mógł powiedzieć Kątskiemu prawdę.

Zwierzać swoje trudności i wahania młodszym, o tyle młodszym — wyglądałoby w jego sytuacji na manierę i kabotyństwo; przytym znając tych młodszych, wiedział Kątski że najpewniejszym rezultatem tych zwierzeń byłoby, że ich słuchacze zwątpiliby w jego wielkość. Zostawało więc tylko własne sumienie, w którem musiał teraz szukać jedynego sędziego, jedynej podniety i nagrody, a które wystarczyło uśpić na chwilę, aby kłamstwo otaczające Kątskiego zakradło się do samej jego twórczości.

Był pewien, że jak dotąd, uczynił wszystko, aby się przed niem obronić. Jego "Bolesław Śmiały" był pokonaniem trudności, których nikt poza nim w Polsce nie mógłby sobie postawić, a nawet nie mógłby zrozumieć; teraz znów od paru miesięcy przechodził jeden z najbardziej dramatycznych okresów swej twórczości, tropiąc z neurastenicznem okrucieństwem najniewinniejsze banalności, każdy ślad łatwizny w orkiestracji swej "Piątej symfonji".

Już kiedy pisał "Bolesława Śmiałego" nie było dnia by nie wstawał z rozpaczą od fortepianu, przekonany, że nigdy nie przestanie słyszeć podszeptów swych wielkich mistrzów; nie było dnia aby nie darł z furją już zapisanych pięciolinji, nie mogąc się dosłuchać wymarzonego prostego głosu pod barokową ornamentacją, przez którą bronił się od pospolitości.

Wbrew najgorszym przeczuciom Kątskiego "Bolesław Śmiały", najpewniej dzięki swemu tytułowi został uznany za jego szczytowe dzieło; Kątski wiedział, że to była nieprawda, ale miał też poczucie, że dał z siebie największy wysiłek woli i sumienia i żył nadzieją, że odpłaci mu się to w następnej pracy.

I oto teraz, mozoląc się już od pięciu miesięcy nad nowym utworem, doznając uczuć wstrętu i poniżenia, miotany zawsze przerażającemi go bezkrytycznemi przypływami naprzemian naiwnego optymizmu i beznadziejnej rozpaczy — raz po raz myślał Kątski z przestrachem, że jego twórczość toczy jakaś choroba organiczna, na którą ani w odpoczynku, ani we wzmożonym wysiłku nie znajdował lekarstwa. Wiedział że jako wiedza muzyczna, jako wyrafinowanie orkiestracyjne stał nietylko bez żadnych porównań ponad poziomem wszystkiego, co kiedykolwiek stworzone było w Polsce ale że pod tym względem równych mu w Europie mistrzów mógł był policzyć na palcach; mając świadomy i nawet nieraz teoretycznie uzasadniany wstręt do rozchełstanego liryzmu i tak zwanej w pewnym okresie wielkiej bohemy zakopańskiej "bebechowości" powinien był uważać, to co tworzył właśnie za wypełnienie postawionych sobie zadań.

Kiedy się przecież porównywał, jak to nieraz czynił, ze Strawińskim odkrywał ze zdumieniem, że mimo całej jego dumnej mózgowości, ciągłego powoływania się na Bacha — jest w nim coś prymitwnego, prawie barbarzyńskiego, w czem właśnie tkwiła siła Strawińskiego, jego wyższość nad współczesnemi.

Gdy sobie to uświadamiał, zaczynał pytać się sam siebie, czy wogóle kiedykolwiek naprawdę rozumiał Bacha i czuł że poczyna wątpić w to co uważał za istotę swej twórczości, czem się chlubił i co szerzył jako pierwsze przykazanie prawdziwej sztuki; coraz też częściej nachodziła go myśl, że jego manjackie unikanie pospolitości, szukanie zupełnej odrębności zabiło w nim zdolność ludzkiego uczucia bez którego żadne dzieło nie może być właśnie odrębne, twórcze i nowe

Łapał się teraz raz po raz na powrotnych a nieoczekiwanych zachwytach dla Straussa, co ostatecznie mógł sobie tłumaczyć — właściwym jego wiekowi sentymentem do przeżyć młodości; co jednak było naprawdę niepojęte, co wprawiało go w prawdziwy popłoch myśli to prawda niewątpliwa, że jego sławna, programowa i namiętna niechęć do Beethowena zaczynała ustępować przed jakąś zazdrością pełną podświadomego podziwu dla jego istotnie straszliwie rozgadanej ale jakże potężnej ludzkości.

Uświadamiając sobie te niepojęte przemiany, drżał żeby to nie był punkt zwrotny i katastrofalny w jego twórczości, ów przełom, który tylekroć zdumiewał go u polskich twórców, nietylko muzyków, kiedy to najbardziej nawet kulturalni nagle odrzucali tę kulturę jako coś narzuconego i tonęli w bezmyślnym liryźmie i nieposkromionym żywiole.

Czy mógł się przed tem ustrzec, czy była przed nim jakaś jeszcze inna droga prócz owej męczeńskiej sublimacji, która, zdawała mu się zaułkiem bez wyjścia i prócz owego elementarnego wybuchu, który prowadził wyraźnie poza sztukę jeżeli nie poniżej sztuki?

I pytał się siebie także, czy był jeszcze czas na jakieś próby i wahania, na zasadnicze przełomy, czy jeszcze mógł coś naprawdę zbudować, rozbiwszy sam siebie z nadzieją że zbuduje się inaczej i tym razem doskonale.

Dźwięki, które teraz usłyszał, zabrzmiały w nim nagle jakby tryumfalna odpowiedź na te wszystkie jego szamotania się i rozterki, jakby nowa jego i najbardziej własna muzyka. "Erzherzogin Adelaide" prowadziła swą frazę tak lekko jakby była naprawdę ptakiem, śpiewającym tylko dla siebie i w tej chwili właśnie głos jej niby jakieś czarodziejskie wiosenne drzewo sypał jak kwiaty nuty czułe i proste i płynął jak najwyższy trel wieczornej słowiczej pieśni.

W tych słowach, w tym dźwięku, który musiał zachwycić każdego, a który miał w sobie pańskość, nie do zdobycia dla dusz pospolitych odzywał się jedyny, oczekiwany ratunek i Kątski doznał jasnowidzenia, że tego ratunku nie wolno ominąć, że jest to objawienie światła, które ma świecić mu już nazawsze. Pojął teraz, że zawsze krążył koło tego światła, zawsze je przeczuwał ale teraz otworzyła mu się jakby sama tajemnica tego nieokreślonego czaru, który tak uwielbiał u innych i nuty tak mozolnie dotąd zestawiane, zaczęły mu się układać i zgadzać szybko jak we śnie, tak że zdawało mu się, że nie nadąży zapamiętać ich i zapisać.

LUDWIK BRZESKI

TRZEJ PRZYJACIELE

Lutek mieszkał na Pierackiego, Franek na Sopińskiego, a Emil na Kadeckiej. Przyjaźnili się ze sobą od samego dzieciństwa. Razem grywali w berka, w klasy, w chowanego, razem chodzili do szkoły i odrabiali lekcje i wałęsali się po Wałach Hetmańskich. Pierwszy papieros został wypalony wspólnie w czasie majówki na Górze Zamkowej. Wódki nie zdążyli pić jeszcze, dziewcząt zaczepiać tak samo. Przyszła wojna i Baczewski przestał produkować, a dziewczęta bały się wychodzić na ulice. Dzika i nienormalna była ich młodość. Polegała na zdobywaniu jedzenia dla swoich rodzin, na ćwiczeniach w tajnych organizacjach oporu, na płatanych okupantom "figlach".

Matka Lutka pracowała początkowo w hotelu "Bristol". Wtedy — w czterdziestym pierwszym roku — gdy Niemcy przyszli do Lwowa, było jeszcze znośnie. W domu wisiał portret Piłsudskiego i nikt nie bał się rewizji Niemców. W "Bristolu" pracowało wielu Polaków i, co najważniejsze, dawali tam jeść. Później zaczęli wyrzucać jednego pracownika po drugim, a na ich miejsce sprowadzono niemieckich kucharzy i niemieckie "fraulein". Niemcy zaczęli coraz częściej wpadać niespodzianie do mieszkań i przeprowadzać rewizje. Trzeba było zdjąć portret Marszałka i schować go starannie na strychu.

Potem zaczęły się łapanki. Mobilizowano mężczyzn do pracy w organizacjach Todta. "Mężczyzn" od lat 15. Lutka, Franka Emila wywieźli jednym z pierwszych transportów. Uciekli z drogi do domu. Nie mogli pozwolić na to, aby ich rodziny marły z głodu. Kryli się po piwnicach lwowskich. Ale trzeba było przecież zarobić na chleb. Wyszli na ulice. Złapali ich. Wywieźli znowu. Do Rosji, pod Wielkie Łuki. Pracowali przy budowie dróg, mostów, baraków dla wojska. tamtąd już trudniej było uciec. 9-u długich miesięcy trzeba było, aby plan ucieczki powiódł się i do Lwowa pod wagonami pociągu. Franek nie zastał już nikogo. Rodziców wywieźli w nieznanym kierunku. Wiele się zmieniło w tym czasie. Ghetto lwowskie pzestało istnieć. Ostatnich 180 Żydów, kryjących ię po kanałach, wytropiono i rozstrzelano jeszcze w grudniu 43go roku. Na dworcach Niemcy sprzedawali dzieci 8 i 9 letnie bachory wieziono z Wołynia pociągami — nie wiadomo dokąd. Można je było wykupić na dworcu. Franek podobnie jak inni Polacy — za ostatnie swoje 50 złotych wykupił Leszka. Chłopak był sierotą — Niemcy zamordowali jego rodziców, chłopca wsadzili do pociągu i wieźli. Do Franka przywiązał się natychmiast jak do rodzonego brata. Ale po 6 dniach został Leszek znowu sierotą. Złapali Franka a z nim jednocześnie Emila i Lutka i wywieźli ze Lwowa W Tomaszowie Mazowieckim odbyła się komisja. Wszyscy, nawet garbaty Julek z Kleparowa, dotali katerorie "A". Potem przez Warzawe zawieźli ich do Berlina. Tam, żeby nie zapomnieli, jak się pracuje i jak się ćwiczy, wysyłano ich na "ćwiczebne", bezużytecznen prace do miasta i ćwiczono w "sztuce wojennej". Nie wiadomo, czy i ci z organizacji Todta nie przydadzą się kiedyś jako mięso armatnie.

Po kilku dniach przez Weronę i Florencję przybyli do Rzymu. Właśnie wtedy Aljanci ustanowili przyczółek w rejonie Anzio. W Rzymie spodziewano się bliskiego wyzwolenia. Chłopcy porozumieli się szybko i którejś nocy, zmyliwszy czujność strażników, uciekli znowu. Włosi dali im płaszcze. W mundurach organizacji Todta, kryjąc je płaszczami cywilnymi, włóczyli się po Rzymie, bez środków do życia, w poszukiwaniu jakiejkolwiek pracy. Pewnego dnia zatrzymał ich na ulicy jakiś przeor zakonny. Odezwał się do nich po polsku: "Jesteście Polakami, prawda?" Nie obawiali się. Z miejca nabrali do tego człowieka zaufanie. Opowiedzieli wszystko. Dzieje swoich trzykrotnych mobilizacji i trzykrotnych ucieczek. Przeor zaprowadził ich do siebie. Nakarmił ich, dał im ubrania i ukrył u swoich włoskich przyjaciół.

U tych ostatnich dowiedzieli się, że ojciec Suwała wiedząc o tym, że Polacy uciekają z szeregów armii niemieckiej i organizacji Todta i kryją się w Rzymie, chodzi po ulicach miasta i odszukuje ich. Wie on bowiem z radja, że armja polska jest już we Włoszech i że na pewno przydadzą się jej polscy żołnierze.

Gdy aljanci po 5 miesiącach wyzwalają Rzym, ojciec Suwała ma przygotowanych w ukryciu dla Korpusu Polskiego przeszło 100, młodych, wyrywających się do wojska, chłopców. Dzi są oni już w naszych szeregach. A wśród nich i Lutek z Pierackiego, Franek z Sopińskiego i Emil z Kadeckiej. Trzech młodych, 18-letnich przyjaciół. których tylokrotne próby ucieczki doczekały się wreszcie nagrody. Ttrzech przyjaciół, którzy na bagnetach zaniosą wyzwolenie swojemu miastu, którzy nie znając łaciny, wiedzą jednak co znaczą słowa: "Leopolis semper fidelis"....



Kościół Dominikanów we Lwowie

MARTA WAŃKOWICZÓWNA

"PÓKI MY ŻYJEMY"

Sheila Matthews nie wyjechała z Warszawy we wrześniu, 1939, tak jak to zrobili inni cudzoziemcy. Nie wyjechała, bo na dworcu warszawskim zobaczyła tłum cudzoziemców z ich psami, klejnotami i pudłami kapeluszy, czekających histerycznie na pociąg, któryby ich wywiózł z Polski, uciekających jak szczury z tonącego okrętu i z równym brakiem godności własnej. Sheila wtedy zawróciła na pięcie, powiedziała że do Anglji nie pojedzie, i że zostanie, żeby pomóc w czem będzie mogła, cokolwiekby się nie działo.

Tak zaczynają się perypetje młodej Angielki, bohaterki ostatniej powieści znanej autorki amerykańskiej, Helen MacInnes, WHILE STILL WE LIVE. Akcja toczy się cały czas w Polsce, głównie w Warszawie podczas oblężenia i pod okupacją niemiecką, potem na wsi.

Sheila, która w pierwszych dniach wojny była podejrzana przez polską policję o współpracę z wywiadem niemieckim i aresztowana, wykorzystuje to po wejściu Niemców, aby — w porozumieniu z polskim ruchem podziemnym i wywiadem brytyjskim — uchodzić za agentkę niemiecką i "współpracować" z okupantami. Gdy pętla podejrzeń zaczyna się zaciskać, Sheila wyjeżdża z Warszawy. Jako agentka niemiecka dostaje się w ręce partyzantów polskich, z którymi po wyjaśnieniu swojej tożsamości, zostaje aż do swego wyjazdu z Polski.

WHILE STILL WE LIVE jest **roman d'aventure,** powieścią napakowaną po brzegi przygodami, intrygą i napiętemi sytuacjami. Nie jest to jednak historja tylko imaginowana. W każdym opisie, w każdej sytuacji, uderza niezwykła staranność szczegółu i gruntowne przepracowanie tematu. Widać to w sprawach ważnych i nieważnych. Helen MacInnes nietylko nauczyła się jakiemi ulicami idzie się ze Starego Miasta na Bracką czy z Alei Szucha do Placu Teatralnego. Równie dokładnie jak plan ulic warszawskich i ich zakrętów, przestudjowała "plan psychiczny" Warszawy. Ci, którzy byli w Warszawie w tych pierwszych miesiącach, przypominając sobie te same zburzone domy, które widzi Sheila i te same trudne sprawy codziennego "życia z przyzwyczajenia" — muszą zatrzymać się dłużej na niektórych kartach powieści Helen Mac Innes i z dreszczem wzruszenia przypomnieć: "Tak było, tak właśnie było." Taki jest naprzykład opis zajęcia Warszawy przez Niemców:

"Pierwsze oddziały niemieckie weszły do miasta. Wzdłuż ulic, na placach i skwerach, witały ich świeże mogiły. Chropowate, drewniane krzyże sterczały jak sztandary. Więdnące kwiaty na nieznanych grobach ścieliły drogę zdobywcom.

"Niemcy rozdawali dzieciom czekoladę — i fotografowali. Rozlewali talerze zupy, dzielili skiby chleba pomiędzy mniej dumnych i bardziej głodnych — i znowu fotografowali. Ale ludzie w Warszawie zapamiętali się w zimnej obojętności. Chodzili i mówili, jakby im karki gniotła mara nocna. Jakby się nie dobudzili jeszcze ze złego snu. Jeśli mieli w sercach gorycz klęski, a na ustach oskarżenia przeciw tym, których o nią winili, stokroć bardziej gorzkie były ich pogardliwe oczy patrzące na fanfaronadę niemieckich czekolad, niemieckich zup, fotografowanej dobroci niemieckiej."



Helen MacInnes

Z Sheilą razem wślizgnęła się autorka na tajne zebranie. Było to pierwsze i ostatnie, liczebnie duże zebranie, na którem, na dzień przed wejściem Niemców do miasta, przepracowano ostatnie szczegóły organizacyjne. I znowu w tych krótkich, rwanych zdaniach jakiemi się tam mówi, dzwonią dobrze znane echa. Przecieramy ręką czoło, przymykamy oczy, skupiamy wolę i pamięć — ktoś tak kiedyś mówił, słyszeliśmy wszyscy, możeśmy tak sami mówili... I przypomniawszy, oddychamy głębiej powietrzem pełnem pyłu walących się ścian: w Warszawie.

"...nasz ostatni dzień wolności.— Jutro wejdzie do miasta nieprzyjaciel. Dzięki Bogu za ten ostatni dzień. Jeden mamy cel wszyscy, gdziekolwiekbyśmy nie byli: walka! Polska nie zginie, póki my żyjemy... Zaparliśmy się własnych nazwisk, wrzekliśm się rodzin. Jednej tylko ojczyźnie ślubujemy wierność. W chwilach najczarniejszej rozpaczy i najbardziej gorzkiego zwątpienia, pociechę nam będzie to, że wszyscy jesteśmy cząstką jednej całości. Każdy z nas pamiętać musi, co nas wiąże, i że bez tej wzajemnej zależności ruch podziemny nie mógłby istnieć, ni walka trwać."

Powieść Helen MacInnes nie jest dokumentem historcznym i nie ma do tego najmniejszej pretensji. Ale kombinacja tych dwóch, ponoć kobiecych, cech: drobiazgowości i intuicji, stwarza bardzo przekonywującą atmosferę. Tem bardziej, że bohaterka jest cudzoziemką, i że, mimo całej swojej wielkiej pzyjaźni dla Polski, mimo ofiarnej i niebezpiecznej pracy przeciwko Niemcom, mimo nawet miłości do Adama Wiśniewskiego, romantycznego dowódcy podziemnej armji — nie jest w stanie zidentyfikować się całkowicie z Polakami. Nie jest "jedną z nich" mimo wszystko. Z życzliwości cudzoziemki, wakacyjnego gościa, turystki, Sheila zmienia się w przyjaciela, prawdziwego przyjaciela, gotowego wiele poświęcić, jeśli trzeba. Ale jeśli staje w szeregu do walki, to nietyle może dla samej Polski, ile dla większej jeszcze, wspólnej sprawy, w którą wierzy, dla młodzieńczo gorących, ogólno ludzkich ideałów wolności i sprawiedliwości. "Współpraca" z Niemcami umacnia ją jeszcze bardziej w wierze, że musi przyłożyć ręki do wytrzebienia zła i przemocy. To, co widziała w Warszawie, i później, między partyzantami, przekonywuje ją o niezbitej słuszności sprawy polskiej, daje jej wiarę w t. zw. prostego człowieka i w to, że w walce przeciw okupantom bierze udział cały naród. Sheila zaczyna naprawdę kochać Polskę wtedy, kiedy zaczyna kochać Adama. Ale i wtedy nawet nie jest jeszcze w pełni "jedną z nich"— zdaje sobie zresztą sprawę z tego i Helen MacInnes i Sheila. I to jest jedna z ciekawości książki, bo pozwala bohaterce na dwoistą interpretację wydarzeń, nawet czasem na dwoistość własnych reakcji.

W rozmowie z amerykańskim dziennikarzem Stevens'em, Sheila wybucha nieoczekiwaną dla siebie samej nienawiścią do Niemców. Wreszcie kończy:

"— Jeżeli istotnie tak jest jak mówisz, że twój opis oblężenia Warszawy straci aktualność za miesiąc czy dwa — to znaczy że cała ta ofiara jest nadaremna.

— Mówisz tak, jakbyś była Polką.

— Nie, nieprawda — powiedziała Sheila powoli. — Mówię to jako Szkotka. Nie mogę patrzeć na marnotrawienie. Gdybym była Polką, samo poświęcenie byłoby czemś tak szlachetnem, że nie zastanawiałabym się nawet czy się opłaca."

Sheila wyjeżdża z Polski do Wiednia, jako żona oficera niemieckiego. Z Wiednia jedzie do Włoch w przebraniu zakonnicy. Kiwając się monotonnie w takt kół, patrzy drętwym wzrokiem na kraj przesuwający się za oknami pociągu, na kraj którego nie tknęła jeszcze nawała wojenna. Towarzysząca Sheili stara zakonnica włoska potrząsa głową.

"Wszyscy oni tacy sami," myśli — "Biedacy! Zostawiają w tem piekle, z którego się wyrwali, wszystkie swoje uczucia i myśli. Jakby się wstydzili nawet tego, że sami uszli cało."

Wszyscyśmy przeżywali ten niedorzeczny, ale jakże głęboko prawdziwy "kompleks uchodźczy", mękę tego, że nie chodzimy w drewnianych chodakach, nie jemy koniny i nadmrożonych kartofli, a prasę podziemną czytamy tylko w odbitkach fotostatcznych; mękę czekania na koniec tego wszystkiego; mękę niepewności i niewiedzy, co jest dobre a co złe, w co warto wierzyć, a co nam trzeba odrzucić precz. Jedna jest wiara, którejśmy się nigdy nie zaparli, którą biją nam serca: prawda Polski. Chronimy ją jak naszą własność, tę prawdę, której obcy nie umieją zrozumieć. Ale Sheila dochodzi do niej nareszcie. Ostatni etap jej pielgrzymki ku Polsce kończy się w Londynie. Patrząc z ciemnego pokoju na blackout londyński, czując w sobie radosną moc rosnącego nowego życia, Sheila wie, że "nigdy nie za długo będzie czekać na to, co tak bardzo warte jest choćby i najdłuższego czekania." Nigdy niezadługo czekania, póki życia.

OPINJE I ZDARZENIA

TOMASZ ARCISZEWSKI

Przybyły do Londynu, prezes Komitetu Centralnego PPS Tomasz Arciszewski jest jednym z najbardziej zasłużonych bojowników o niepodległość, jednym z patryjotów, szanowanym przez wszystkich dla nieustępliwej, ofiarnej służby Polsce. Należy on do pokolenia bojowców, którzy na żadne nie szli kompromisy, nigdy nie sprzeniewierzyli się ani miłości do Polski ani wierze w socjalizm.

Deklaracja, którą Arciszewski złożył po przyjeździe do Londynu — odźwierciadla ten jego charakter i uświadamia nas niewątpliwie o tem, co kraj czuje i jak myśli.

Miejmy nadzieję, że głos Arciszewskiego, który jest głosem najszlachetniejszych w kraju — będzie decydujący dla tego, co PPS teraz w przełomowej chwili postanowi i jaką taktykę obierze.

UMARŁ NOWACZYŃSKI

W początkach lipca umarł w Warszawie Adolf Nowaczyński. Był to talent niezwykły, którego nikt z tysięcznych jego wrogów nie mógł mu odmówić, inteligencja fajerwerkowa, temperament niezrównany, stylista do dziwactwa oryginalny, zjawisko do nikogo niepodobne, indywidualność pisarska w zakreślonym sobie rodzaju najpierwszej klasy.

Nowaczyński lubiał się przyrównywać do Aretina, do Voltaire'a, do Kajetana Węgierskiego i do Leona Daudeta; miał też w sobie coś z każdego z nich potroszę. Jego postawą wobec świata było gwizdanie na utarte świętości, na ustalone opinje i panujące władze; pisarz sceniczny, dziennikarz, poeta — był zawsze Nowaczyński przedewszystkiem pamflecistą, bezlitosnym, zajadłym, bez pardonu, bez czci i wiary nieraz.

Jak Aretino nie znał miary w szkalowaniu ludzi i w obeldze, nigdy nie cofnął się przed najokrutniejszym i najniesprawiedliwszym żartem — jeśli ten żart wydawał mu się sztuką. I nieraz największe niesprawiedliwości, najcięższe grzechy odpuszczano Nowaczyńskiemu, dlatego, że były one grzechami artysty.

Nowaczyński chciał być gawroszem, oszczercą, chciał gwizdać na ulicy, ale nie znaczy to aby nigdy nie był poważny. Jego artykuły i sztuki, pełne fałszywej erudycji i najprawdziwszej inteligencji służyły nieraz myśli zdrowej i zbawczej: jak myśl o ustawicznem zagrożeniu od Niemiec, o wiecznie grożącym nam, wciąż odradzającym się, "Wielkim Fryderyku".

Miał Nowaczyński swoją wielką epokę w teatrze, swoje legendarne sukcesy, które w znacznej mierze Solskiemu — "Samozwańcowi" i "Fryderykowi" zawdzięczał. Niektóre jego bezlitosne żarty przetrwają jego samego i tych, których kłuły. Kraków literacki pierwszych lat naszego wieku, literacka Warszawa ostatnich lat trzydziestu nie byłyby sobą bez Nowaczyńskiego, byłyby mniej kolorowe i bardziej nudne.

Przyjaciele i wrogowie, ciężkie nieraz ofiary jego arcylekkiego ale jakże morderczego dowcipu, żegnają z tą samą melancholją polskiego Aretina jako jedno ze wspomnień o wolnej Warszawie.



Przyjaźń polsko-włoska

NOWA KSIĄŻKA WIERZYŃSKIEGO

Nowa książka Wierzyńskiego "Pobojowisko", zbiór opowiadań o walkach polskich we wrześniu 1939 ukaże się na jesieni nakładem Kisterów. Czytelnicy znają te wzruszające, głębokie a tak oszczędne w stylu i po conradowsku dskretne nowele, z których parę "Tygodnik Polski" drukował. Będą one napewno wydarzeniem literackim — a wydanie angielskie, już przygotowywane — będzie zarówno wprowadzeniem Wierzyńskiego na amerykański rynek jak też bardzo ważnem dokonaniem dla naszej propagandy. Czermański ozdobił książkę czułemi rysunkami o bardzo indywidualnej, nowej swej linji.

SUMNER WELLES I POLSKA

Książka pana Sumner Wellesa robi teraz hałas nieomal jak niegdyś książka Willkiego a później Lippmana. Do żadnej z nich nie mieliśmy szczęścia i z lektury tej najnowszej możnaby wywnioskować, że wszystkie kłopoty z Europą powstały dlatego, że Polska miała takie a nie inne granice wschodnie. To że te granice nie stały się bynajmniej wrotami przez które Niemcy weszli do Rosji, ale zaporą dla nich—to jakoś panu Sumner Wellesowi na myśl nie przychodzi i maluje on mapę przyszłej Polski i przyszłych Niemiec — niby dwóch zarówno pobitych państw, które trzeba dla spokoju Europy zreformować.

MOWA JAK NALEŻY

Słusznie uczynił pan Minister Grosfeld że po odczycie swym w Kole Prawników na temat Konferencji Monetarnej zabrał głos w najważniejszej sprawie tej, o której wszyscy myślimy, poza którą wszystko zdaje się nam błahe i nieistotne.

Odnieśliśmy z tej mowy najlepze wrażenie, była ona wyrazem tego co wszyscy czujemy, dzieliła nasze niepokoje i nadzieje. Pan Grosfeld wie jakie one są, a skoro sam je podziela, wierzymy że będzie ich nieustępliwym rzecznikiem w Londnie, dokąd w tych dniach wraca i gdzie zapadają teraz historyczne decyzje.

Z POEZJI POLSKI PODZIEMNEJ

NAD NAMI ŚPIEW

Nad nami śpiew, nad nami szum —
To szumi las zielony.
W pioruny burz, na wraży tłum
prą nasze bataliony. bis.

Idziemy w świat, idziemy w dal
kołysze się nam zboże —
Zielony las, bagnetów stal,
na hełmach złote zorze. bis.



Polscy żołnierze pancerni — rysował F. Topolski

Równamy krok, wzniecamy pył,
niesiemy pieśń przez pole —
Nie zbraknie nam w ramionach sił
na dole i niedole. bis.

Będziemy kuć młotami stóp
rycerski pas tej drogi,
A gdzie ostatni świeży grób
tam naszych nie brak mogił.

A gdzie nasz grób, gdzie szaniec nasz
i nasz piechurski biwak —
Tam orzeł biały, pełniąc straż,
do lotu się porywa. bis.

DOWCIPY POLSKI PODZIEMNEJ

INDYWIDUALNOŚĆ I METODA

Niemcy chcą jaknajwięcej zwolenników skaptować dla osi. Hitler wysyła Goeringa do Papieża. Po dwuch dniach depesza:

— Przyjęty bardzo gościnnie, ale papież nie chce słyszeć o osi.

Wobec tego pojechał Goebels. — Przysyła depeszę:

— Stosunki bardzo dobre, wypiliśmy bruderszaft, le do osi przystąpić nie chce.

Hitler wysyła Himlera. Na drugi dzień depesza:

— Papież zmarł w nieustalonych bliżej okolicznościach, — za dwa, trzy dni konklawe. Zostaję papieżem.

ABY NIE POWTÓRZYĆ SYTUACJI Z BAJECZKI JACHOWICZA

— Kogo będziemy najpierw wyrzynać po wojnie: Volksdeutschów czy Reichsdeutschów

— Oczywiście Reichsdeutschów, bo najpierw obowiązek a potem przyjemność.

GEST KUPIECKI

Telefon do zakładu pogrzebowego:

— Tu miała być przysłana trumna i dotąd jej niema, co się stało?

— Co?

— Trumna.

— Nie rozumiem o co panu chodzi.

— Niech pan słucha: t jak Todt, r jak Reichenau, u jak Udet, m jak Molders, n jak następny, a jak Adolf.

— Ach tak, teraz rozumiem. Zaraz wysyłamy. Od siebie dodamy darmo miejsce.

KTO WYGRAŁ

Churchill, Hitler i Stalin po wojnie przy jednym stole:

Hitler — Ja straciłem 12 milionów ludzi, ale zawojowałem całą Europę.

Stalin — Ja prawda, straciłem 20 milionów ludzi, ale zatrzymałem tak potężną armię jak niemiecka.

Churchill — Ja straciłem dwa tysiące ludzi, a i to ciągle ostrzegałem: po cholerę wy się wszędzie pchacie.

ZAWODOWOŚĆ

Hitler wzywa swych doradców na naradę, jak zorganizować desant na Anglię. Frank zapewnia, że polscy szmuglerzy potrafią wszystko, zapewne potrafią też przeszmuglować z 1,000 żołnierzy do Londynu.

Wzywa Hitler szmuglerów. Mówią, że się namyślą. Za kilka dni dają odpowiedź.

— Da się przewieść, ale tylko jako rąbankę.

AUTENTYCZNE

Tramwaj rusza. Wzdłuż wagonu biegnie kilku żołnierzy niemieckich, chcąc wskoczyć na przedni pomost.

— Mamusiu popatrz — woła mała dziewczynka — patrz, niemcy uciekają.

ROZMOWA Z GESTAPO

— Jak to, więc wy, Polacy, nie życzycie sobie, aby niemcy zostali w Polsce na stale?

— Owszem, nawet bardzo... tylko 3 metry pod ziemią.

ŻYCZENIE

W szkole hitlerowskiej nauczyciel zwraca się kolejno do uczniów z zapytaniem:

— Powiedz mi Hans, czym byś chciał zostać, gdyby twoim ojcem był Fuhrer?

— Generłem.

— A ty Karl?

— Admirałem floty niemieckiej.

— No a ty czymbyś chciał zostać? — zwraca się nauczyciel do małego żydka.

— Sierotą — piszczy z ławki mały Abramek.



Nasi żołnierze we Włoszech słuchają koncertu

WYMAGANIA RASISTOWSKIE

Jak winien wyglądća Nordyk?
Blondyn — jak Hitler.
Smukły — jak Goering.
Wysoki — jak Goebbels.

MOŻE JUŻ ZAWSZE

Mieszkańców Berlina budzi w nocy alarm. Wszyscy zbiegają do schronów. Mija godzina, dwie, trzy... Jakaś pani zdenerwowana mówi:

— Czy długo jeszcze tak będziemy tu siedzieć?

— Może już zawsze — odpowiada jakiś pan. — Zbombardowaliśmy im przecież wszystkie lotniska, więc nie mają pewno gdzie lądować...

CZASY

Przed wojną matki-niemki zaczynały opowiadanie bajek dzieciom — ES war einmal... (Był raz...)

A po wojnie będą mówiły: SS war einmal.

